

TADEUSZ RADZIAŁOWSKI \*

## AMERYKANIE POLSKIEGO POCHODZENIA A DWUSETNA ROCZNICA POWSTANIA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Stany Zjednoczone od początku swego istnienia stanowią różne, lecz nierozzerwalnie połączone całości. Z jednej strony jest to państwo z całą swą konkretnością, tworzoną przez armię, marynarkę czy administrację, z drugiej zaś jest to pewna idea i pewien symbol, które wyrażają głęboką tęsknotę istot ludzkich na całym świecie do wolności i sprawiedliwości w ich wszystkich wymiarach. Założyciele Republiki Amerykańskiej mieli nadzieję, że nowy naród, który stworzyli, będzie wcieleniem ich ideałów. Byli oni jednak na tyle mądrzy, że wprowadzili instytucjonalne zabezpieczenia na wypadek, gdyby ich ewoluujące ideały wymknęły się władzy państwa, które stworzyli lub społeczeństwa, które się w nim rozwinęło. Właśnie to zderzenie zinstytucjonalizowanego państwa narodowego, jakim są Stany Zjednoczone oraz transcendentnego ideału, jakim są również Stany Zjednoczone, było źródłem nieustannego napięcia — często bardzo twórczego — w historii Ameryki przez ostatnie 200 lat. Często zdarzało się, że służenie jednej z tych Ameryk oznaczało opozycję lub nawet zdradę drugiej. Konflikt pomiędzy tymi dwoma rzeczywistościami był powodem zarówno najpiękniejszych, jak i najstraszniejszych chwil

---

\* Polonia w Stanach Zjednoczonych ma w swojej ponad wiekowej historii różne fazy rozwoju: okres budowy życia społecznego, okres kryzysu, zwątpienia we własne idee i wypracowane wartości oraz okres ożywienia świadomości etnicznej, szukania własnej tożsamości, swojej kultury i swoich liderów, co rozpoczęło się w latach sześćdziesiątych naszego wieku.

Artykuł Tadeusza Radziałowskiego, profesora-asystenta historii w Southwest State University of Marshall, Minn., jest zbiorem jego przemówień wygłoszonych na zebraniach polonijnych z okazji obchodu 200-lecia Stanów Zjednoczonych. Stanowi on pewnego rodzaju świadectwo o istniejącej sytuacji wewnątrz społeczności polonijnej: jest obrachunkiem z przeszłością i próbą wyciągnięcia z niej wniosków, jest też świadectwem wysiłku ożywienia życia polonijnego, szukania nowych przewodnich idei, ukazywania sensu podtrzymywania i tworzenia własnej kultury. Z tej racji udostępniamy go czytelnikom „Studiów Polonijnych”.

w naszej przeszłości. I dobrze się dzieje, że w tym roku, roku 200-nej rocznicy, świętujemy jubileusz obydwu Ameryk.

Pamiętając o tym wszystkim mamy znacznie szerszą perspektywę, w której możemy ujrzeć siebie — Polaków i Amerykanów — w krytycznych momentach naszej historii i dzięki niej możemy dać bardziej wyczerpującą odpowiedź naszym czasom i naszemu narodowi na to wciąż powtarzające się pytanie: „Kim jesteśmy”? Perspektywa ta da nam również solidną podstawę do odpowiedzi na pytanie — „Kim będziemy”? W tym celu musimy spojrzeć na doświadczenia naszego narodu na tle rozwijającej się historii Ameryki jako symbolu i ideału oraz jako narodu, który w realnym świecie próbuje żyć realizując te wartości.

Ameryka jako hasło sprawiedliwości i wolności, które przyciągnęło uwagę i wyobraźnię świata 200 lat temu, nie powstała z niczego. Ideały, które zostały skryształizowane w owych cudownych słowach Thomasa Jeffersona w lecie 1776 r. były wytworem wieków myśli i walki kobiet i mężczyzn w wielu częściach świata zachodniego. W rozwoju tych ideałów nasi polscy przodkowie zajmują zaszczytne i eksponowane miejsce.

Polska była jednym z tych krajów Zachodu, które rozwinęły silne tradycje rządu opartego na zasadzie reprezentacji i praw obywatelskich — łącznie ze słynnym prawem *habeas corpus* — na długo przed Anglią. Rozwój historyczny Polski dał podstawę systemowi politycznemu, który — jakkolwiek miał wady i odstępstwa od założeń — był godny uwagi ze względu na swój szacunek dla godności ludzkiej i swoją tolerancyjność. Można było mówić jakimkolwiek językiem, być katolikiem, prawosławnym, protestantem, Żydem lub muzułmaninem i być pełnoprawnym obywatelem tej dumnej i łaskawej Republiki Królewskiej, która tylekroć otwierała swoje drzwi wygnańcom i prześladowanym z Europy i Azji. Nie było dziełem przypadku, że to właśnie Polak wygłosił na Soborze w Konstancji w XV w. zasadę, że człowieka nie można ścigać lub pozbawiać życia, wolności lub własności tylko z powodu jego religijnych przekonań. Stara Rzeczpospolita w obronie swego terenu i swych ideałów oraz w obronie świata Zachodu, którego najlepsze tradycje kształtowała i podzielała, nie szczędziła przez wieki swej krwi i swego majątku, ażeby utrzymać wschodnie bramy chrześcijaństwa ciągnące się od „dzikich stepów” po „równiny wiedeńskie”.

Osaczona przez wrogów zewnętrznych i przez wewnętrzną słabość Polska 200 lat temu znalazła się w zagrożeniu. Wtedy, podobnie jak kolonie amerykańskie, wydała niezwykle pokolenie rewolucjonistów, którzy czerpiąc z tych samych źródeł, co ich amerykańscy towarzysze, zreformowali państwo i napisali Konstytucję 3 Maja. Udaremnienie ich wysiłków i zniknięcie Polski z mapy świata nie zdławiło entuzjazmu Polaków do wolności; nie uczynił też tego ponowny „potop” w obecnym stuleciu. Po-

mimo niewiarygodnie ciężkiej sytuacji raz po raz powstawali przeciw uciškowi i obcej dominacji. Od Raclawic w 1794 r. po Warszawę w 1944 r. ich wysiłki przyciągały uwagę i wywoływały zdumienie całego świata. Ci, których represje wyгнаły z ojczyzny i rozrzuciły od Ameryki po Tybet, pozostawili w czasie i przestrzeni swój ślad w walkach o wolność innych i przeciw tyranii od Savannah, Brandywine i Saratogi po Monte Cassino. Ich hasło — „za wolność naszą i waszą” było najwspanialszym darem dla tej wolności, jaki kiedykolwiek dał jakikolwiek naród. W burzliwym w. XIX Polaków można było znaleźć w pierwszej linii każdego ruchu i każdej ideologii, która obiecywała wolność i sprawiedliwość dla uciśnionych. Anarchizm, socjalizm, komunizm chrześcijański, demokracja liberalna i każda walka o samostanowienie — wszystkie znajdowały wyznawców w Polsce. Bismarck był niedaleki prawdy, kiedy nazwał Polaków „generalną załogą rewolucji światowej”. O ile Ameryka jako idea stała się w 1776 r. kulminacją najwspanialszych nadziei ludzkości, możemy twierdzić, że znaczna część tej idei jest spadkiem po naszych przodkach dla nas i dla całego świata; bez tych wysiłków naszego narodu o których mówiłem, rozwój i znaczenie owych ideałów w ciągu ostatnich 200 lat byłoby znacznie uboższe.

Ale my, jako Polacy, mamy te same ideały, co nasi rodacy-Amerykanie zarówno dzięki naszemu polskiemu dziedzictwu, jak również dlatego, że pomogliśmy tworzyć i rozwijać się społeczeństwu amerykańskiemu i ich ideałom. W r. 1609, 11 lat zanim w Plymouth Rock wylądowali pielgrzymi, grupa polskich rzemieślników przybyła do Jamestown w stanie Virginia i założyła pierwsze w Ameryce fabryki, a w nich pierwsze szkoły zawodowe i kursy czeladnicze. Już samo to osiągnięcie gwarantowałoby im miejsce w naszej historii, ale pamiętamy o nich z wielu jeszcze innych powodów. Polacy, którym odmówiono praw politycznych, ponieważ nie byli pochodzenia angielskiego, zorganizowali pierwszy w naszej historii strajk i pierwszą demonstrację polityczną. Ich zwycięstwo było zwycięstwem nie tylko dla nich samych, lecz również dawało prawa wszystkim następnym pokoleniom Amerykanów. Ludzie ci, których odwaga uratowała życie Johnowi Smithowi i których praca utrzymywała przy życiu Jamestown, dali pierwszy polski wkład w amerykańską wolność.

W tym jubileuszowym roku musimy oczywiście szczególnie pamiętać o wkładzie Kazimierza Pułaskiego, Tadeusza Kościuszki i dzielnego oddziału ich przyjaciół i zwolenników wierzących w zwycięstwo niepodległości amerykańskiej.

Stosowna teraz chwila, by w przededniu 200 rocznicy śmierci Pułaskiego i 200 rocznicy kraju, o którego niepodległość walczył, powrócić pamięcią do dziejów naszego, a zarazem i Jego narodu. Musimy wspomnieć trudną i krętą drogę, którą przebyliśmy, by ocenić znaczenie naszych do-

świadczeń i aby przemysleć dla dobra nas samych i naszych dzieci, co znaczy być Polakiem w Ameryce. Nie zawsze będzie to łatwe i przyjemne, nie można też zrobić tego szybko, ale w tym przełomowym momencie naszej historii musimy to uczynić — oczywiście jeśli naprawdę wierzymy — że pochodzenie i kultura, którą tak wysoko cenimy, muszą nadal wzbogacać i nadawać sens życiu naszego narodu i kraju.

Dzięki nim odniesiono zwycięstwo, które odwróciło kartę wojny na północy i pomogło uzyskać poparcie Francji dla walczących kolonii amerykańskich. Kościuszko, dzięki swej odwadze, swej żarliwej miłości do wolności, swej uprzejmości i skromności, niechęci do niewolnictwa oraz litości, którą okazywał niewolnikom murzyńskim jest naprawdę jednym z najciekawszych i przykuwających uwagę bohaterów Rewolucji Amerykańskiej.

W pierwszym wieku istnienia tego kraju przybyła tu tylko nieliczna grupa Polaków, a większość z nich stanowili uciekinierzy polityczni. Będąc ludźmi wykształconymi i utalentowanymi, z wielkim oddaniem dla ideałów, na których opierała się Ameryka, przyczyniali się do ekonomicznego, politycznego, społecznego i kulturalnego rozwoju Stanów Zjednoczonych w stopniu nieproporcjonalnie większym w stosunku do swej liczby. Dwie spośród najlepiej znanych osób z tej grupy, to kobiety: Ernestine Potowski-Rose i Dr Maria Zakrzewska. Potowski-Rose była jedną z pierwszych bojowniczek o prawa kobiet i wybitną przeciwniczką niewolnictwa. Bardziej niż ktokolwiek inny, wniosła swój wkład w ustanowienie prawa o własności kobiet zamężnych w Nowym Yorku. Walczyła o to prawo przez 12 lat. Będąc wybitnym mówcą, Ernestine Potowski-Rose jeździła wzdłuż i wszerz Stanów Zjednoczonych z wykładami przeciw niewolnictwu. W jednym ze swych słynnych przemówień w 1853 r. wygłoszonym przed Amerykańskim Towarzystwem Antyniewolniczym, zapytała — „Czym jest niewolnik?“, a jej odpowiedź brzmiała:

Nie być swoją własnością cielesnie, umysłowo i moralnie, to znaczy być niewolnikiem. Nawet gdyby właściciele traktowali swoich niewolników z najwyszukańszą uprzejmością i miłosierdziem; gdyby mi powiedziano, że pozwalają im siedzieć cały dzień na sofie i karmią największymi przysmakami, to i tak jest to niewolnictwo [...]. Niewolnictwo — to nie należeć do siebie, być obrabowanym z siebie samego — to jest największa ohyda niewolnictwa, ponieważ pozbawia ona człowieka powszechnego prawa do człowieczeństwa, które dał mu jego Stwórca [...].

Słowa te są wymownym świadectwem jej oddania najpiękniejszym ideałom tradycji polskiej i amerykańskiej.

Dr Maria Zakrzewska była również aktywna zarówno na polu walki o prawa kobiet, jak i o zniesienie niewolnictwa. Pamięta się o niej przede wszystkim dzięki jej pracy medycznej i społecznej. To ona stworzyła pierwsze szpitale dla kobiet i dzieci w Stanach Zjednoczonych i jako pier-

wsza pozwoliła kobietom odbywać praktykę lekarską. Pomagała organizować pierwszą amerykańską Szkołę Pielęgniarską, a jej troska o dzieci doprowadziła ją do zainicjowania ruchu tworzenia placów zabaw w naszych miastach. Historia zna ją jako „matkę amerykańskich placów zabaw”.

Ogromna część Polaków żyjących w Stanach Zjednoczonych w chwili 200-lecia kraju to albo imigranci, albo ich potomkowie, przybyli tu dopiero w tym stuleciu. Kiedy przy okazjach takich jak ta, mówcy podsumowują wkład tej ogromnej większości Polaków przybyłych tu w czasie Wielkiej Imigracji oraz ich dzieci, dla narodu amerykańskiego i jego ideałów, zazwyczaj przypominają, jak ciężko pracowali i jak dobrze walczyli w wojnach prowadzonych przez Amerykę w tym stuleciu. Charakterystyka ta jest prawdziwa tylko w takim zakresie, jaki może obejmować. Polacy przyczynili się ogromnie do zbudowania Ameryki przemysłowej swymi mięśniami, swym mózgiem i talentem. Henry Ford nazwał polskich robotników najrzeczniejszymi ze wszystkich grup etnicznych, jakie zatrudniał. Gdy w tym stuleciu nastąpiła wojna, okazało się, że imigrant polski jest chętnym i lojalnym żołnierzem. Wśród pierwszych 100 000 ochotników w I wojnie światowej było 40 000 Polaków i chociaż stanowili oni tylko 4% populacji, ponieśli aż 12% strat. Kiedy już się powie o tych sprawach i Polacy zostaną należycie pochwaleni jako dobrzy obywatele, dyskusja kończy się. Cóż w końcu można jeszcze powiedzieć o ludziach, którzy przybyli do Ameryki nie z pobudek wyższych a tylko dla chleba...

W rzeczywistości jednak skończyć dyskusję w tym miejscu, to znaczy kontynuować niesprawiedliwość i chociaż sprawy te są niezwykle ważne, stanowią mniej istotną część wkładu, jaki dali ci ludzie. Zatrzymać się tutaj, to znaczy również podsycać tę szczególną próżność, dotyczącą tak wielu naszych rodaków-Amerykanów, a wynikającą z powszechnego mniemania, że poza kilkoma wyjątkowymi obcokrajowcami, którzy pomagali we wprowadzaniu w życie idei wolności i sprawiedliwości, właściwymi jej wynalazcami są ich przodkowie, zaś reszta z nas żyje z „procentów” od tej tradycji. Nic nie może być dalsze od prawdy.

Co zaoferowała Ameryka Polakom? Schronienie przed prześladowaniami zaborców, później azyl dla uciekinierów przed tyranią Hitlera. Proponowała pracę, czasami poczucie bezpieczeństwa, dawała szansę na zmianę pozycji społecznej i wzbogacenia się w szybko uprzemysłowiającym się kraju, a także umożliwiała ucieczkę przed biedą, brakiem dachu nad głową i skostniałym systemem społecznym. Pomimo uprzedzenia, złych warunków pracy, niskich zarobków i przemocy, szanse, które nam dano nie były małe i sądzę, że musimy być za nie wdzięczni.

Jednak cena, którą musieliśmy za to wszystko zapłacić była tragicznie wysoka. Oczekiwano po nas nie tylko zamerykanizowania się, lecz także

wyrzeczenia się swojego własnego języka i kultury. Musieliśmy zapomnieć o tym, że tworzymy grupę, dano nam prawo i obowiązek stania się „nowymi ludźmi” zgodnie z amerykańskim marzeniem o równości. W pewnych przypadkach otworzenie przed niektórymi z nas bogatej kultury anglo-amerykańskiej stanowiło niemałą perspektywę, ale wymagania amerykańskiego życia powodowały, że nie wszyscy nasi rodacy mogli skorzystać z tej szansy. Pomimo całej tej gadaniny o mieszaniu kultur całego świata i tworzeniu nowej, która byłaby ich sumą, zmuszano nas w gruncie rzeczy do odrzucenia naszej przeszłości, do odrzucenia historii i kultury naszego narodu, a także do wyrzeczenia się naszych ojców i przodków, ich zwyczajów i zabawnie brzmiących nazwisk. Żądania te wzmacniane są poprzez łagodną presję społeczną oraz nieprzychylną nastawienie i nieprzyzwoite obelgi pod adresem naszej kultury i tożsamości, która z niej wyrasta. Ludzie należący do grupy uważanej za podrzędną i w jakiś sposób poniżaną przez większą część społeczeństwa, albo wyrzekają się swego pochodzenia, albo zatrzymują je i separują się od ludzi, albo też szukają ochrony i spokoju w grupie. Nasi rodacy zrobili obie te rzeczy: zmienili nazwiska i ukryli swe pochodzenie lub dostosowali się do wymagań w nadziei, że dadzą im spokój i albo odizolowali się od innych, albo skupili w miejskich „gettach”.

Jakakolwiek była reakcja, wynikiem były wewnętrzne wątpliwości, nienawiść samych siebie, ciągłe podkreślanie własnego sprawdzenia się, jak gdyby każdy miał prawo żądać od nas udowodnienia, że jesteśmy tacy jak wszyscy inni. Ostatnio nauczycielka pierwszej klasy, tu w Minnesocie, opowiedziała mi historię jak to pierwszego dnia nauki odczytywała listę obecności i natrafiła na nazwisko, którego pochodzenia nie mogła od razu ustalić. Zapytała więc uczennicę jakiej jest narodowości, na co dziewczynka nerwowo i usprawiedliwiająco odpowiedziała: „Jestem Polką, ale nie jestem głupia”. Później okazała się najinteligentniejszą uczennicą w klasie. Nawet największy bigot musi przyznać, że tzw. „polskie kawały” nie są zbyt śmieszne, zwłaszcza gdy odnosi się je do małych dzieci. Kiedyś słyszałem robotnika w średnim wieku, który z wielkim gniewem i wstrętem do samego siebie opisywał Polaka w Ameryce jako kogoś, kto z niewolniczym posłuszeństwem spełnia rozkazy szefów i duchownych, kogo każdy poniewiera, a on przyjmuje to bez narzekania. Nie ma znaczenia jak dalece prawdziwe są te stereotypy, ważne jest, że tak właśnie widział samego siebie w społeczeństwie. Sporo socjologów i ludzi zajmujących się sprawami mniejszości narodowych zauważyło kiedyś, że Polacy, którzy przewodzą w swym własnym środowisku, stają się ponurzy i milczący, gdy znajdują się poza nim.

Mój przyjaciel Richard Kolm — socjolog polskiego pochodzenia zauważył kiedyś, że Polacy to ludzie pełni życia, lubiący dyskusje, martwiło

go jednak, że poza swym własnym środowiskiem stają się skryci i milzący. Większość z nas nosi na sobie piętno imigranta nawet w drugim i trzecim pokoleniu oraz jest głęboko świadomie lub nieświadomie przekonana, że jesteśmy w Ameryce obcymi.

Oddajemy honory sztandarowi amerykańskiemu i przysięgamy wierność bardziej gorliwie niż inni z nadzieją, że nikt nie zapyta nas co tu robimy. W latach pięćdziesiątych XX w. wielu naszych rodaków ukrywało swe pochodzenia i próbowało wkupić się do społeczeństwa amerykańskiego, a w rezultacie stać się na zewnątrz bardziej amerykańskimi niż sami Amerykanie.

Nasz pobyt w tym kraju, jak wielu z Was wie, nie należał więc do łatwych. Kiedy przy końcu XIX w. Polacy i inni Europejczycy ze wschodu i południa zaczęli tłumnie przybywać do Ameryki, wielu Amerykanów upatrywało w tym prawdziwe zagrożenie dla swego społeczeństwa. Potępiali naszych rodziców i dziadków w najostrzejszych słowach. Uważali ich i innych imigrantów za ogłupiałych, antydemokratycznych ignorantów, za burzycieli uczciwej amerykańskiej pracy, za ostoję anarchizmu i wreszcie za bezmyślnych wykonawców papieskiego spisku, mającego na celu zawładnięcie protestancką Ameryką. Pod wpływem tych wyobrażeń niektórzy Amerykanie bez skrupułów prześladowali i dyskryminowali Polaków, przy pełnej aprobacie ze strony amerykańskiego społeczeństwa. Dokładnie osiemdziesiąt lat temu, szanowny amerykański wydawca gazet nazwał Polaków i podobnych imigrantów „hołotą znad Renu, Dunaju, Wiśły i Łaby”. Nic więc dziwnego, że szeryf z Pensylwanii, który zastrzelił ponad dwudziestu nieuzbrojonych polskich robotników podczas strajku, został uniewinniony pod pretekstem działania w obronie własnej. Wszyscy zostali zabici strzałem w plecy... Jako pociechę na swe utrapienie i samotność w obcym kraju, którego języka nie znali i jako pomoc w złagodzeniu szoku spowodowanego przeniesieniem się z katolickiego, rolniczego środowiska do wielkomiejskiego, uprzemysławiającego się, głównie protestanckiego społeczeństwa, mieli imigranci przynajmniej swój Kościół. Hierarchia Kościoła katolickiego w Ameryce nie wykazywała wiele współczucia i zrozumienia dla ludzi, których uważała za półpogańskich barbarzyńców. Jej podejrzania i represje doprowadziły naszych braci do schizmy, do utworzenia Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego. Czasami zapominamy jak burzliwe i bolesne dla naszego społeczeństwa były te początkowe lata w Ameryce.

Ci biedni, niewykształceni imigranci walczyli tak samo ciężko o pełny rozwój ideałów amerykańskich, jak wszyscy inni bohaterowie rewolucyjni. W imię sprawiedliwości społecznej i ekonomicznej stawali twardo na przeciw zastępcy szeryfa lub uzbrojonych band nawet wtedy, gdy oznaczało to pobicie lub śmierć. Domagali się dla siebie i innych ludzkiej god-

ności, pomimo fizycznego i prawnego zastraszenia, groźby bezrobocia lub wciągnięcia na czarną listę. Ci, którzy szli po chleb, głodowali i byli wraz z rodzinami wyrzucani na ulicę za to, że nie pozwolili się traktować jak maszyny lub rzeczy. Co zaś najważniejsze, robotnicy amerykańscy polskiego pochodzenia nie byli nieświadomi swej walki. Oto jak pisał „Dziennik Zjednoczenia” na początku tego stulecia:

Sympatia całego społeczeństwa polskiego jest po stronie robotnika [...] Robotnik polski często musi cierpieć [...]. Jest on żołnierzem, wojownikiem poświęcającym wszystko dla innych. Często zdarza się, że gdy robotnik polski pozbawia swą rodzinę ostatniej kromki chleba i staje na swoim posterunku, inni przychodzą i zabierają mu pracę. To jest cała tragedia robotnika polskiego w Ameryce.

Ci biedni, niewykształceni ludzie, których nazwiska są zbyt często zapomniane, cierpieli, przelewali krew i umierali w Lemont, Latimer, Chicago, Detroit, Pittsburghu i wielu innych miejscach, za te wartości, które dziś tutaj sławimy. Oni, wraz z innymi imigrantami oraz Murzynami, tworzyli poparcie polityczne dla instytucji demokratycznych i postępowego prawodawstwa wprowadzającego na scenę Ameryki postęp i humanizm. Przez swoją walkę, czasami indywidualną i na małą skalę, czasami wspólną, monumentalną i narodową — zapewnili utrzymanie w całości spuścizny naszego narodu oraz dodanie nowych wymiarów do znaczenia sprawiedliwości, wolności i demokracji. Pamiętajmy: wolność nie potwierdzona, to wolność nie zdobyta — po prostu nie istnieje. Polscy imigranci pomogli nadać znaczenie i wymiar realności tym prawom i swobodom, których niektórzy potomkowie „założycieli” chcieliby innym odmówić. Są oni godni stać zarówno w tradycji Kościuszki i Pułaskiego, jak i Samuela Adama i Thomasa Jeffersona.

Ostatecznie okazało się, że polski imigrant jest mniej niebezpieczny, niż Amerykanie uprzednio przypuszczali i mógł z łatwością stać się częścią amerykańskiego „tygla”, z którym wielu Amerykanów wiązało tyle nadziei. W czasie ogromnego wyzwolenia uczuć patriotycznych i silnej tendencji do jednoczenia podczas i po II wojnie światowej, wyobrażenie o polskim imigrancie nabrało szlachetniejszych, aczkolwiek nieprawdopodobnie sentymentalnych rysów. Stał się on uprzejmym, łagodnym, trochę śmiesznym jegomościem, który ściskając w spracowanych rękach swój amerykański dowód osobisty, mamrotał wzniosłe patriotyczne banały łamaną angielszczyzną, której nauczył się na kursach wieczorowych.

Wyobrażenie to utrzymało się poprzez lata pięćdziesiąte, do wczesnych lat sześćdziesiątych XX w. jako że całe amerykańskie społeczeństwo, a szczególnie ci, którzy byli najbardziej niechętni w stosunku do imigrantów, skierowało swą uwagę na zagrożenie ze strony powojennego komunizmu, pozostawiając sprawę imigrantów na dalszym planie. Polacy



w Ameryce, do których dołączyli teraz uchodźcy z okresu drugiej wojny światowej, byli przecież zdecydowanymi antykomunistami, a w dodatku nie sprawiali kłopotu i wydawali się rezygnować ze swych niestosownych obcych zwyczajów. Uważano, że można nas było poklepać po ramieniu w „Dniu Narodów Ujarzmionych” i bez ryzyka lekceważyć przez pozostałą część roku. Książki do historii i politycy wspominali o nas tylko na marginesie, przez amerykańskie środki masowego przekazu byliśmy nawet bardziej niedostrzegani niż Murzyni. Właściwie każdy w telewizji, kto wywodził się z tego tzw. narodu imigrantów, wydawał się być Anglosasem. Nasze zaangażowanie w sprawę wolności, niepodległości i sprawiedliwości dla Polski po II wojnie światowej zostało włączone do amerykańskiej „krucjaty” antykomunistycznej. Podczas, gdy naród amerykański walczył o to, aby znów określić swoją tożsamość i swoją rolę w powojennym świecie na centralnej scenie, naszą rolą było stać w kącie oznaczonym „naród uwieczony” jako przykład szlachetnych synów wolności, których trzeba ratować. Nasza obecność służyła usprawiedliwieniu i uprawomocnieniu tej krucjaty. Wszystko to, chociaż tak wygodne dla Amerykanów, pomimo wspaniałych frazesów, nie dało jednak rezultatów.

W tym samym czasie imigrant został zmuszony przez zwiększający się nacisk w szkołach, w kościołach, w fabrykach i w ogóle w społeczeństwie, do porzucenia swojego śmiesznego, obcego stylu życia i stania się „dobrym Anglosasem”. Ponieważ wiązało się to często z powodzeniem materialnym i przesunięciami społecznymi, istniał ogromny nacisk w kierunku jedności. Na przykład, już w r. 1916 Henry Ford, którego poglądy były typowym przykładem „amerykańskiej” filozofii, płacił swoje słynne 5 dolarów dziennie tylko tym ludziom, którzy zastosowali się do właściwych standardów zachowania — co było sprawdzane przez inspektorów — to jest ludziom, którzy żyli jak Amerykańscy protestanci z klasy średniej. Ford prowadził nawet dla zamerykanizowania swoich pracowników szkołę, która praktycznie była obowiązkowa. Szkoła ta miała unikalną ceremonię wręczania dyplomów. Niech mi wolno będzie przytoczyć tu jej opis zaczerpnięty z archiwów Ford Motor Company:

Niedawno szkołę tę ukończyło ponad 500 ludzi. Uroczystość promocji odbyła się w największej sali w mieście. Na scenie stała dekoracja przedstawiająca statek z imigrantami. Przed nim stał olbrzymi tygiel. Uczniowie ubrani w swoje stroje narodowe schodzili po pomoście niosąc bagaż taki, jaki mieli, kiedy przybyli do Ameryki. Wchodzili wszyscy do „tygla Forda” i znikali. Następnie nauczyciele zaczęli mieszać zawartość tygla długimi chochlami. Wkrótce tygiel zaczynał się gotować i wychodzili z niego ludzie ubrani w swoje najlepsze amerykańskie ubrania, powiewając flagami amerykańskimi.

Jest to bardzo szczególny tygiel — bez względu na to, jakie włożyć do niego składniki, sporządza on tylko jedno danie. Ceremonia promocji For-

da, jakkolwiek bardzo banalna, ilustruje, co znaczy dla Amerykanina „tygiel”: nie stopienie się różnych kultur w nowy amalgamat, lecz całkowite wchłonięcie imigrantów przez społeczeństwo anglosaskie.

Ten styl życia nie był ich własnym, z czego zdawali sobie sprawę i czuli się winni, ponieważ nie byli „porządnymi Amerykanami” stosownie do ogólnie panującego wzorca; poza tym gnębiło ich to, że ukrywają kim są naprawdę. To, że społeczna „schizofrenia” nie skończyła się bardziej przykrymi zmianami osobowości, zawdzięczamy chyba właściwej nam odporności. Wyobraźcie sobie potomków tych skrzydlatych huzarów, którzy roznieśli Turków pod Wiedniem, tych wielkich wnuków kościuszkowskich kosynierów, którzy pod Raclawicami atakowali rosyjskie armaty, wnuków tych nieugiętych bojowników nazwanych przez Bismarcka „głównym sztabem światowej rewolucji”, dzieci ludzi, którzy uzbrojeni tylko w odwagę opuścili domy i przebyli ocean i kontynent, pokonując niewygodę i trud w nadziei znalezienia lepszego życia. Wyobraźcie sobie naród tak szczery, pełen życia, nieustępliwy, muzykalny jak Polacy. I teraz wyobraźcie sobie tych ludzi udających, że są Ozzi i Harriet.

Obawa przed ujawnieniem swego pochodzenia zanika z trudnością. Powróciła w latach sześćdziesiątych, kiedy ataki i zarzuty pod naszym adresem ponowiły się.

Ludzie mówili: „jesteście zbieraniną rasistów”, a my odpowiadaliśmy: „Ale pracujemy ciężko i nie sprawiamy kłopotu”.

Mówiono: „Jesteście głupi”, a my na to: „Lecz jesteśmy lojalni”.

Często wyglądało to tak, jakbyśmy nie rozumieli zarzutów. My jednak rozumieliśmy je na swój sposób. Wydawało się nam, wśród tych oskarżeń i ataków na nas, iż słyszemy prawdziwe oskarżenie: „Jesteście oszustami” ... „Jesteście obcy” ... „Nie jesteście tutejsi” ... „Nie jesteście prawdziwymi Amerykanami”.

Kilka lat temu dokonałem badań, aby określić liczbę amerykańskich studentów polskiego pochodzenia na Uniwersytecie Michigan. Odkryłem, że mimo, iż w promieniu pięćdziesięciu mil od Uniwersytetu mieszkało około kilkuset tysięcy Polaków, na 38 tys. studentów, tylko mniej niż osiemset było Polakami. Kiedy ujawniłem swój zamiar opublikowania tych danych, mój przyjaciel polsko-amerykański naukowiec związany z Uniwersytetem, bardzo się tym zaniepokoił i poruszył, aż wreszcie powiedział: „Jeżeli to zrobisz, Oni mogą pomyśleć, że o coś prosimy”. Każdy z nas, jak widzicie, na swój własny sposób nosi znamię outsidera.

Polacy w Ameryce osiągnęli sporo ważnych sukcesów we wszystkich dziedzinach, jednak nie wystarczająco wiele w stosunku do liczby ludności. Przeczytajcie „Who's Who”, a zobaczycie jak niewielu Polaków jest tam wymienionych.

W latach sześćdziesiątych mniemanie o nas zmieniło się. Otrzymałi-

my do odegrania nową wersję naszej starej roli — znów zostaliśmy czarnymi charakterami. Zimna wojna wygasła i cały ów problem „uwięzzonego narodu” stał się kłopotliwy w dobie odprężenia. Kraj wpadł w kłopoty rasowe i coraz bardziej pogrążał się w okropną i krępującą wojnę w Wietnamie. Kto ponosił winę za ten przerażający stan rzeczy? Imigrant i jego dzieci, którzy — jak się okazało — nie „przetopili się” należycie w dobrych Amerykanów. Ludzie ci stali się teraz rasistowskimi i szowinistycznymi przedstawicielami małych grup etnicznych. A więc to my byliśmy odpowiedzialni za rasizm. My wstrzymywaliśmy proces integracji. Mógłbym wykazać, że integracja, jakkolwiek miałaby funkcję — a ma ich wiele — zarówno dla Murzynów jak i dla innych mniejszości narodowych, jest właściwie nową wersją „tygla”, która, gdyby udało się ją zrealizować, prowadziłaby do rozbicia wszystkich grup etnicznych. Również my byliśmy odpowiedzialni za to, że Stany Zjednoczone wciąż prowadziły wojnę w Wietnamie i za pomoc w tłumieniu słusznych dążeń uciśnionych ludów kolonialnych w południowo-wschodniej Azji. Ponieważ Murzyni nie chcieli już dłużej być kozłem ofiarnym, rasiści skierowali swą uwagę na nas. Na domiar złego musieliśmy znosić tak zwane „polskie dowcipy”.

Te amerykańskie wyobrażenia o nas na przestrzeni lat były albo nieprawdziwe, albo zniekształcały nasze rzeczywiste nadzieje, obawy, dążenia, nasz prawdziwy stosunek do Ameryki. Przeżywaliśmy swoje radości i tragedie pod samym nosem społeczeństwa amerykańskiego, ale ono patrzyło na nas oczyma, które nie chciały widzieć i sądziło myślą, która nie chciała zrozumieć. Różnice w typie naszej rozrywki, sposobie modlitwy i życia, tysiące różnych założeń, jakie robiliśmy w odniesieniu do świata i praw nim rządzących, wszystko to nie miało racji bytu w kraju „wielkiego tygla”. Jak krępujący gość na przyjęciu, byliśmy grzecznie ignorowani w książkach historycznych i w środkach masowego przekazu, w nadziei, że zaczniemy zachowywać się tak jak wszyscy inni, albo po prostu wyniesiemy się. Nacisk wywierany na nasz naród, abyśmy wyparli się swej tożsamości i swego dziedzictwa, zawsze był silny. Zawdzięczaliśmy temu krajowi bardzo dużo; jednak za zaoferowaną nam przystań i możliwości, zapłaciliśmy straszną cenę przez alienację, zwątpienie, wreszcie nienawiść do siebie samych.

Wielu naszych braci uległo temu naciskowi. Zaparli się swej tożsamości, zmienili nazwiska i próbowali się wkupić w amerykańskie życie. Większość z nas przynajmniej ugięła się pod tym naciskiem. Żyliśmy w kulturze, która odmawiała wartości najgłębszym i najbardziej znaczącym aspektom naszego własnego doświadczenia, a uświęcała zamiast niego doświadczenia, rytuały i mity, które były nam obce. To zmuszało nas do noszenia — świadomie lub nieświadomie — przekleństwa outsidera:

poczucia, że nie jesteśmy naprawdę u siebie. Do dzisiaj oddajemy honory fladze szybciej i wypowiadamy Przysięgą Wierności gorliwiej niż inni, mając nadzieję, że nikt nie zapyta, co tu robimy i czy mamy tu naprawdę swoje miejsce.

Decydująca zmiana zaszła również w naszej społeczności w połowie lat sześćdziesiątych. Z wielu różnych powodów etniczna świadomość i duma narodowa zaczęły wzrastać w tym samym czasie, kiedy Murzyni przełamali monopol anglosaski i sprawili, że różnorodność kulturowa stała się możliwa i szanowana. Teraz możemy określić swą tożsamość. Ale jaka jest ta tożsamość? Co to znaczy być Amerykaninem polskiego pochodzenia w Chicago, w Ameryce, w r. 1974? I czy tożsamość jest warta utrzymywania? Te pytania zarówno my, jak i każda inna grupa etniczna, będzie musiała sobie zadać.

Krytycy zarówno wewnątrz, jak i z zewnątrz naszych społeczności utrzymują, że społeczności te są tylko „skarłowaciami wersjami XIX-wiecznych wsi chłopskich”, w których tłoczyliśmy się, szukając wsparcia w tych trudnych, wczesnych dniach; że dzisiaj nie mają one żadnego celu, i że nasze kościoły odzwierciedlające etos dawnej społeczności, nie mają dla zurbanizowanego życia w XX w. żadnego specjalnego znaczenia ani większego w nie wglądu. Zatem naszym jedynym powodem, dla którego trzymamy się razem, poza przyzwyczajeniem i siłą bezwładu, jest nostalgia za „Auld lang syne”\*\* i to, że wszyscy lubimy kielbasę. W tej analizie jest oczywiście odrobina prawdy, ale tylko odrobina. Nasze społeczności są bardziej witalne, a dziedzictwo, na którym się opierają jest daleko bogatsze i pełniejsze, niż krytycy owi chcieliby sądzić. Społeczności te nie są wędnącymi i rozpadającymi się pozostałościami rzeczywistości europejskiej, lecz żywymi i stale zmieniającymi się całościami, założonymi przez narody imigrantów jako sposób na zachowanie, kontynuowanie i rozwijanie tych rytuałów, wspomnień, tradycji i tożsamości, które nadają najbardziej podstawowe znaczenie ludzkiemu życiu i które umożliwiają nam znalezienie sensu świata. Pewien mój przyjaciel, Włoch, zauważył pewnego razu, że świadomość etniczna — to sposób w jaki się rodzi dzieci a grzebie starych.

Zadaniem naszym w tym decydującym, ale bardzo sprzyjającym czasie, jest ukształtować nasze społeczeństwo na lata siedemdziesiąte i na następne dekady. Aby to uczynić, musimy się cofnąć, ponownie się nauczyć, — a nawet ponownie przemyśleć znaczenie naszej historii w Europie i w Ameryce, zrozumieć jakie aspekty polskiego dziedzictwa chcemy wyeksponować w świetle spuścizny amerykańskiej, a następnie zdefiniować

---

\*\* „Dawne dobre czasy” — są to pierwsze słowa popularnej w Szkocji piosenki (od red.).

na tym tle potrzeby nasze i potrzeby szerszych kręgów społeczeństwa, w którym żyjemy. Niektóre sprawy mogliśmy już zapomnieć. Mój kolega, dyrektor Archiwów Imigranckich, Rudi Vecoli, opowiada, że podczas zamieszek w Chicago w 1919 r. Włosi w pobliskim West Side zlinczowali Murzyna. Wkrótce potem Jane Addams zwołała zebranie przywódców włoskich. Zapytała, jak to się mogło stać, że Włosi, którzy mieli historyczne i przyjacielskie kontakty z ludźmi o ciemnej skórze i którzy sami padali ofiarą amerykańskich linczów, mogli wykazać taką nienawiść do Murzynów. Pewien Włoch zauważył: „Ach, młodzi ludzie stają się Amerykanami”. Jeżeli nauczyliśmy się tych „aspektów amerykanizmu” — powinniśmy je zapomnieć.

Tym niemniej musimy być przygotowani do energicznej obrony naszej społeczności, chociaż bez gniewu, czy nienawiści. Najlepszym sposobem jej ochrony jest wyjście z defensywy, w której byliśmy o wiele za długo. Jednym z powodów gniewu i gwałtowności naszej obrony w latach sześćdziesiątych było obwinianie nas, że bronimy tego, co nie ma racji bytu w amerykańskim społeczeństwie. Sądzę, że obecnie zupełnie spokojnie możemy stwierdzić, iż nasza społeczność nie tylko ma prawo istnieć, lecz także jej egzystencja jest zjawiskiem pozytywnym. Ponieważ nie możemy całkowicie utożsamić społeczności ze środowiskiem geograficznym, a naszym zadaniem w latach siedemdziesiątych musi być znalezienie nowych sposobów umocnienia więzów społeczności w czasach wzrastającego rozproszenia geograficznego. Baza terytorialna jest z pewnością ważna. Sądzę, że wszyscy uświadamiamy sobie, iż te społeczności oraz instytucje, które istnieją w miastach, nie mogą być łatwo odtworzone na przedmieściach. Nie jestem odosobniony w mniemaniu, że można zrobić w mieście miejsce dla stabilnych środowisk etnicznych, jak również dla środowisk zintegrowanych rasowo i etnicznie, w sposób otwarty, uczciwy i sprawiedliwy. Najłatwiej to zrobić, gdy każdy będzie miał możliwie najszerszy wybór miejsca zamieszkania, co złagodzi ciśnienie spowodowane oczywistą koniecznością zagwarantowania sprawiedliwości i równości. Nie możemy pozwolić, aby rozwiązanie przerodziło się w rasizm lub gwałt. Nienawiść do jakiegokolwiek grupy — Murzynów, Żydów, hippisów — pochłonęłaby naszego ducha, sparaliżowała naszą twórczość i zmarnowałaby cenną energię, której możemy użyć dla lepszych celów. Bezpieczni w naszej tożsamości i naszych celach, sądzę, że możemy — nawet mimo nieuzasadnionych i nie szukających uzasadnienia ataków na nas — zacząć rozwijać bazę dla podjęcia prób rozwiązania problemów życia zurbanizowanego.

Politycznym geniuszem naszego narodu była umiejętność stworzenia zdolnej do życia i przetrwania wspólnoty, składającej się z ludzi różnych narodowości, ras i religii oraz wytworzenia w niej atmosfery tolerancji

i wzajemnego szacunku. Polska, jak pamiętamy, była dla uciekinierów religijnych i politycznych przystanią, w której nie istniały zorganizowane represje religijne czy inkwizycja... Opierając się na tej tradycji, musimy przejąć przewodnictwo i wyciągnąć rękę, do innych grup etnicznych w celu uformowania koalicji, aby wypracować wzajemnie zadowolające rozwiązania problemów zbrodni, „zarazy miejskiej”, nędzy oraz innych problemów, które zagrażają naszym miastom. Nie jest to bynajmniej zadanie łatwe a musi być wykonane pomimo napięć, które powstają między grupami ludzi o znacznie różniących się stylach życia i kulturach, którzy są pochłonięci całodzienną intensywną walką o pracę, pozycję, nagrody i władzę polityczną. Właśnie twórcze zrozumienie tego aspektu naszego dziedzictwa może pozwolić nam na wprowadzenie na scenę amerykańskiego miasta, mechanizmów rozwiązujących i uzgadniających stanowiska wobec kwestii, które w sposób nieunikniony wyłonią się z tych napięć.

Co my, jako naród polski, mamy jeszcze do zaoferowania naszemu amerykańskiemu krajowi — oprócz indywidualnych talentów — w tym ostatnim trzydziestoleciu XX w. Możemy dać po raz pierwszy Ameryce pełne zrozumienie jej własnej przeszłości. Historia imigrantów była tak samo pomijana jak historia Murzynów. Jednym z powodów ostatnich niepowodzeń i trudności, z którymi spotkał się nasz kraj, była błędna koncepcja, jaką Amerykanie mieli co do siebie samych. Uogólniliśmy doświadczenia tylko części ludzi, którzy tworzą to społeczeństwo i utrzymywaliśmy, że jest to historia Ameryki. Próba rozwiązania problemów, które osaczają nas na podstawie takiego rozumienia historii doprowadziła do niewykonalnych i dziwnych rozwiązań. Jest to tak, jakby ktoś próbował upiec ciasto, używając tylko połowy składników z przepisu. Możemy dać znaczny wkład do historii zarówno Ameryki jak i Polski — ponieważ nasze doświadczenie jest częścią zarówno jednej, jak i drugiej — przez rozpoczęcie badania i interpretowania naszego życia w nowym świecie, a następnie przez nauczanie tego naszych amerykańskich braci. W procesie tym musimy zająć się tworzeniem prawdziwej i dojrzałej polsko-amerykańskiej kultury, która nie pasożytuje wyłącznie na kulturze polskiej bądź amerykańskiej, ale która korzysta twórczo z jednej i drugiej. Naszym zadaniem zarówno w życiu codziennym, jak i na wszystkich polach współczesnej literatury, muzyki i sztuki, jest zacząć odnosić się twórczo do tej szczególnej intuicji, która jest naszym dziedzictwem po połączeniu się dwóch głębokich, bogatych i pięknych tradycji kulturowych.

Chociaż nie musimy, a może nawet nie wolno nam ograniczać mądrości i dobrodziejstw płynących z naszego dziedzictwa wyłącznie do tematyki polsko-amerykańskiej, istnieje wielka potrzeba zbadania i wykorzystania jej przez naszych artystów, pisarzy, muzyków i naukowców. Mogą

oni przez swoją intuicję pomóc nam w interpretacji znaczenia naszego pobytu w Ameryce.

Jesteśmy również znakomitymi interpretatorami amerykańskiego dziedzictwa dla ludzi z Polski i vice versa. Jako pośrednicy, możemy udostępnić bogatą i głęboką kulturę Polski Stanom Zjednoczonym, które znają ją za mało. Znaczy to, że powinniśmy wyjść poza Chopina i Kopernika i sami nauczyć się jej dokładnie. Musimy oczywiście prezentować Ameryce kulturę współczesnej Polski, która wykazuje w wielu dziedzinach niewątpliwe oznaki wielkości. Michael Novak zauważył ostatnio w swoim artykule, że istnieje pewien szczególny rodzaj próżności, który mają Amerykanie, mianowicie, że to ich przodkowie wynaleźli wolność i sprawiedliwość, że instytucje demokratyczne wyrosły z nasiona zasianego w 1776 r. i że od tego momentu pozostawało nam tylko siedzieć i patrzeć, jak ono rośnie. Zgodnie z tym poglądem na historię Ameryki ci z nas, którzy nie mają brytyjskich lub amerykańskich przodków, żyją z cudzej tradycji. Korzystamy z pewnych świadczeń — i prawdopodobnie powinniśmy robić to z pokorą i wdzięcznością — płynących z czyichś ideałów i poświęceń. To jest nonsens. Możemy wskazać — i już wskazaliśmy — na fakt, że Polska ma tradycje parlamentarne tak samo stare i tak samo godne szacunku jak tradycje któregośkolwiek innego narodu na Zachodzie i że setki naszych braci — w tym Kościuszko i Pułaski — było obecnych „przy Stworzeniu”, używając nadającego się tu zwrotu dziekana Achesona, Republiki Amerykańskiej i płacili oni swoim poświęceniem, walką, a nawet życiem, za nasz udział w tym przedsięwzięciu. Lecz jest jeszcze głębszy sens, w którym ten pogląd jest mylny. Jeden z najwybitniejszych żyjących amerykańskich historyków, Robert L. Palmer w swym monumentalnym dwutomowym studium pod tytułem *Wiek rewolucji demokratycznych* dowodzi, że pomiędzy rokiem 1760 i 1800 nastąpiła fala idei rewolucyjnych i nacisk na tworzenie instytucji demokratycznych w całym świecie zachodnim. Jednak tylko w trzech krajach miejscowy ruch rewolucyjny był wystarczająco silny, by osiągnąć zwycięstwo u siebie po r. 1770: w Ameryce, Francji i Polsce. Dwie pierwsze, jak wszyscy wiemy, zwyciężyły. Polska, wśród potężnych zmian rewolucyjnych, została zgnieciona przez mocarstwa zewnętrzne. Nie wolno nam zapominać, że byliśmy rzeczywistymi członkami tej światowej walki o demokrację, która dała Amerykańską i Francuską Rewolucję i że ludzie w całej Europie widzieli wydarzenia w Polsce jako część ruchów obejmujących cały świat. Przypomnijmy sobie pełne żalu słowa poety angielskiego: „i Wolność jęknęła, gdy Kościuszko padł”.

W sensie bardziej bezpośrednim jednak, my wszyscy imigranci, i brązowi, i czarni, jesteśmy tak samo odpowiedzialni za zwycięstwo i zachowanie demokracji w Ameryce jak inni. Nasi ojcowie i dziadowie tak sa-

mo powinni być wymieniani wśród założycieli republiki. Możemy oczywiście wskazać na nasz znaczny udział w wojnach Ameryki w tym stuleciu, ale, być może, podkreślaliśmy to już zbyt często, nie uświadamiając sobie, o ile więcej zrobiliśmy w rzeczywistości. Pomimo całej swej tragicznej ceny, jest to jeden z naszych mniej ważnych wkładów. Są ważniejsze rzeczy, których dokonaliśmy. Nasza walka o sprawiedliwość społeczną i ekonomiczną, nasze żądanie ludzkiej godności dla siebie i innych, fakt, że nie pozwoliliśmy, aby nas traktowano jak maszyny lub rzeczy, nasze poparcie dla instytucji demokratycznych i postępowego prawodawstwa, wprowadziły na scenę amerykańską postęp i humanizm.

Jak wskazał M. Nowak — to właśnie robotnik, imigrant i Murzyn dali znaczenie i rzeczywistość prawom i wolności, których odmawiają nam niektórzy potomkowie ojców-założycieli. Musimy kontynuować rozszerzanie znaczenia wolności, sprawiedliwości i demokracji zgodnie z naszym polskim i amerykańskim dziedzictwem, w czasach, gdy potężne i bogate siły w naszym społeczeństwie zagrażają mu oraz dalej rozwijać społeczeństwo, w którym każdy może zażywać wszystkich tych dobrodziejstw w bezpieczeństwie, zdrowiu i dobrobycie.

Kiedy jednak zaczynamy myśleć o cenie, którą zapłaciliśmy, o stracie albo wypaczeniu naszego narodowego dorobku, utracie pewności siebie, wewnętrznych wątpliwościach, demoralizacji — zaczynamy rozumieć jak była ona wysoka. Decydująca zmiana nastrojów w naszym społeczeństwie miała miejsce w połowie lat sześćdziesiątych XX w. Była ona spowodowana, przynajmniej częściowo, powojennymi osiągnięciami Polski oraz uzyskaniem międzynarodowego rozgłosu przez polskich muzyków, kompozytorów, artystów, reżyserów, naukowców i pisarzy, co sprawiło, że bycie Polakiem stało się zaszczytem. W tym samym czasie dzięki naszym Czarnym Braciom, prawo do odmiennej kultury zostało zalegalizowane. Zaczęliśmy wreszcie przyznawać się — o czym zawsze wiedzieliśmy — że pomimo tego, iż mówiliśmy po angielsku i ubieraliśmy się jak inni, w gruncie rzeczy nie byliśmy tacy jak oni. Nasze postawy, sposób naszego zachowywania się w domu, nasz stosunek do rodziców, braci i sióstr, sposób w jaki wychowywaliśmy nasze dzieci, pracowaliśmy, bawiliśmy i modliliśmy się oraz wszystkie z tysiąca ukrytych poglądów na świat i na nas samych, były odmienne.

Tysiącletni dorobek kulturowy zakorzeniony w narodzie, nie znika w ciągu jednego czy dwu pokoleń. Nagle mogliśmy być sobą — bez wyjaśnień, bez przeprosin, bez zastrzeżeń, jakaż to ulga być tak po prostu sobą. Zjawisko to, rozpowszechniające się wśród Polonii amerykańskiej daje początek odrodzeniu naszego społeczeństwa. Renesans kulturalny ściśle łączy się z problemem bycia Polakiem i zarazem Amerykaninem w Stanach Zjednoczonych lat siedemdziesiątych XX w. Droga ta może



odsłonić wiele niepokojących problemów, jak to próbowałem zasugerować w swych pracach, może nas ona zmusić do przemyślenia naszych pozycji społecznych, ale okaże się ona owocna dla nas i naszego kraju. Kiedy przypatruję się życiu Polonii w Stanach Zjednoczonych i jej rosnącemu poczuciu własnej wartości, zdaję sobie dopiero teraz sprawę, jak interesujące jest życie Amerykanów polskiego pochodzenia.

Ozywienie wśród Murzynów i mniejszości narodowych i ich gotowość do otwartego działania w swym własnym interesie zaniepokoiły wielu ludzi. Burzy to ich obraz Ameryki jako jednolitego anglosaskiego kraju o zasadniczo zsekularyzowanej kulturze protestanckiej.

Z pewnością próbują nas znowu poniżyć i zniszczyć. W ostatnich dziesięciu latach, spośród europejskich grup etnicznych zostaliśmy przez „nowy natywizm” poddani najsilniejszym atakom. Ostatnio tzw. „polskie kawały” pojawiły się w tym samym czasie, gdy Murzyni odmówili nastawiania karku, a bigoci szukali kogoś innego do poniżenia.

Wyobrażenie zatwardziałego rasisty stanowi część tej kampanii i wiele ludzi, udając przyjaciół Murzynów próbuje poróżnić nas z nimi. Murzyni których prawo do sprawiedliwości jest niezaprzeczone i których żądania mają niepodważalną słusność, są używani jako broń przeciwko innym grupom narodowościowym.

Częścią ceny, którą Murzyni być może będą musieli zapłacić, aby wejść w pełni do społeczeństwa amerykańskiego jest atak na inne grupy etniczne. W wielu wypadkach, na przykład, kiedy Murzyni wprowadzili się na obszar angielskiej parafii katolickiej, granice tej parafii były zmienione w ten sposób, aby Murzyni znaleźli się w sąsiedniej parafii polskiej. W niektórych miastach próbowano przekształcić granice administracyjne w taki sposób, żeby ilość Murzynów znacznie przewyższała ilość Polaków. W Detroit miejska parafia polska sporządziła plany budynku dla biednych, który miał być zbudowany naprzeciwko kościoła i uzyskała federalne fundusze na sfinansowanie tego przedsięwzięcia. Kiedy już budynek zbudowano, biurokraci pozwolili wprowadzić się do niego wyłącznie Murzynom, a na wniesione skargi odpowiadali uprzejmie, że podania Polaków gdzieś się zagubiły. Co za zdumiewający zbieg okoliczności.

Z powodu takich sytuacji Murzyni i Polacy, pomiędzy którymi już i tak istnieje napięcie z powodu różnic kulturowych, z dnia na dzień rywalizując na polu polityki miejskiej, zostali wciągnięci w poważny konflikt. W ten sposób większa część społeczeństwa może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i fałszywie obarczyć nas odpowiedzialnością za swe problemy rasowe. Carl McIntyre, który wstawia się za tymi grupami naszej ludności, które były najbardziej wrogo nastawione w przeszłości do imigrantów, ostatnio odwrócił swą uwagę od walki z komunizmem, aby potępić Kongres Polonii Amerykańskiej jako niebezpieczną organizację,

ponieważ żąda on równego czasu w telewizji, by odpowiedzieć na niego-  
dziwe zarzuty pod adresem Polaków postawione w programie Dicka Ca-  
vetta. Wtedy tylko jesteśmy dobrzy, kiedy trzymamy się swego miejsca  
w społeczeństwie i mamy buzie zamknięte na kłódkę. McIntyre porównuje  
Kongres Polonii Amerykańskiej do Czarnych Panter, a jego starania uwa-  
ża za jedną z radykalnych prób organizacji mniejszości narodowych, ma-  
jącą na celu opanowanie amerykańskich środków masowego przekazu dla  
swych własnych celów. Trzeba powiedzieć, że postawienie znaku równo-  
ści między Bobem Sealem i Alem Mazewskim musi niepokoić.

Jeśli jednak miałyby to zastraszyć bigotów, będę jednym z pierw-  
szych, którzy utworzą Biało-Czerwone Pantery.

Sądzę, że w przyszłości możemy się spodziewać większej ilości takich  
wybuchów i innych przejawów nowego anglo-amerykańskiego natywi-  
zmu.

Jaki musi być nasz program na przyszłość?

Przede wszystkim, jak mawiają moi studenci, musimy „zebrać to  
wszystko w jedną całość”. Powinniśmy ustalić kim jesteśmy i czym dla  
nas jest nasze pochodzenie w latach siedemdziesiątych XX w. Następnie  
musimy być bardziej samymi sobą i być z tego dumni. W końcu trzeba  
zająć się utworzeniem prawdziwej i dojrzałej kultury polsko-amerykań-  
skiej. Kultury nie faworyzującej ani polskich, ani amerykańskich źródeł,  
lecz czerpiącej twórczo z obu. Nie znaczy to, że powinniśmy chodzić  
ubrani jak krakowscy tancerze lub szlachcice z XVIII w. chyba, że ktoś  
by to lubił. To, co musimy robić na co dzień w obcowaniu z innymi ludź-  
mi wewnątrz i poza naszym środowiskiem, co musimy wykorzystywać  
w naszej działalności artystycznej, to wydobyć specyficznych cech, któ-  
re są naszym dziedzictwem z połączenia dwóch bogatych i pięknych tra-  
dycji. Mimo, że niekoniecznie musimy ograniczać mądrości i naszej spu-  
ścizny wyłącznie do tematów polsko-amerykańskich, musimy jednak do-  
kładnie je przeanalizować.

Chciałbym zasugerować naszym artystom, pisarzom, naukowcom, aże-  
by zaczęli na swój sposób, interpretować i analizować znaczenie naszych  
doświadczeń w Nowym Świecie.

Poprzez dzieła naszych artystów i historyków, będziemy mogli lepiej  
ujrzeć samych siebie, a tym samym zrozumieć kim właściwie jesteśmy  
i wnieść autentyczny wkład zarówno do polskiej jak i amerykańskiej hi-  
storii i kultury. Wyłącznie my możemy zrozumieć i wczuć się w to złożo-  
ne zagadnienie, by je zbadać.

Chociaż nie możemy nigdy zapomnieć o naszej przeszłości, o naszych  
cierpieniach i triumfach, nie możemy jednak pozwolić sobie na bycie jej  
niewolnikami, a nienawiści z powodu głęboko odczutej niesprawiedliwo-  
ści doznanej w przeszłości, kierować obecnie przeciwko tym, których uwa-

zamy za swych wrogów i dręczycieli. Chociaż musimy być gotowi do obrony samych siebie, jak również interesów naszej społeczności, nie wolno nam poświęcać cennego czasu na niepotrzebną walkę i nienawiść do Murzynów, Żydów, Anglików czy hippisów. Nienawiść i postawa negatywna zużywa jedynie czas i energię, których potrzebujemy do lepszych celów, a ponadto niszczy humanitaryzm i zdolności twórcze tych, którzy nienawidzą. Zamiast tego musimy nawet w obliczu stronnicych i nieuzasadnionych ataków przeciwko nam budować ludzki świat dla nas i innych, opierając się na najlepszych i najbardziej wzniosłych ideałach polskiej tradycji, w rodzaju tych, dla których umarł Pułaski. Musi to być świat, w którym wszyscy cieszą się wolnością i sprawiedliwością, a także bezpieczeństwem i dobrobytem.

Ponadto, społeczeństwo takie musi być pluralistyczne, nikt w nim nie może być zniewolony przez uprzedzenie czy presję społeczną do przyjęcia obcego i nie odpowiadającego mu sposobu życia, tak aby nasz naród mógł wykorzystywać mądrość wszystkich kultur świata, a nie tylko jedną, bez względu na to jaka ona jest.

Aby to osiągnąć musimy zacząć wkładać nasze uczucia, siły i pieniądze w pomoc naszym artystom, naukowcom, a szczególnie młodemu pokoleniu. Przy naszej zachęce i wsparciu finansowym, będą oni mieli szansę współzawodnictwa na równych prawach z innymi.

Zbudowaliśmy już wystarczająco dużo domów, zainwestujemy teraz w naszą społeczność, bo to jest nasze życie i przyszłość. W końcu musimy wyleczyć się z choroby, która nękała i raniła nasze środowisko na wiele sposobów od tak dawna. Ta choroba to bezustanny konflikt między jednostkami a organizacjami o sprawy błahe, nieumiejętność pracowania wspólnie i ataki na tych, którzy chcą nam przewodzić. Rozważmy te bezsensowne nieporozumienia spowodowane urazą i dumą, pracujmy razem i przede wszystkim cieszymy się sukcesami naszych braci.

Czerpiąc z naszego bogatego i złożonego dziedzictwa, co, jako polscy Amerykanie, możemy dać naszemu krajowi wchodzącemu w trzecie stulecie swego istnienia?

Mamy jeszcze coś bardzo cennego, co musimy zachować i przekazać naszym braciom-Amerykanom. Ameryka po II wojnie światowej stała się według słów tytułów dwóch niedawno wydanych książek, światem „samotnego tłumu” i „narodem obcym”. Wymagania współczesnego przemysłowego społeczeństwa bardziej niż kiedykolwiek zmuszają masy ludzi do stawania się wędrowcami i ludźmi bez korzeni. Początkowo wielu z nich upodobało sobie ten świat nieustannych zmian. Wydawało się, że daje więcej wolności i większą indywidualność. Wkrótce jednak ludzie zaczęli być niezadowoleni i zaczęło im brakować własnego miejsca i społeczności. Ruch komun z lat sześćdziesiątych był poszukiwaniem tych

wartości, poszukiwaniem tego, co, jak sędzę, my w dużym stopniu zachowaliśmy.

My wiemy, co to znaczy wędrować, wiemy również z gorzkiego doświadczenia, jak trudno jest zachować duchowe i ludzkie wartości wobec wrogości, wobec nowych, przerażających sytuacji, wobec rozpacz, samotności i alienacji, które są losem imigranta. Wiemy, jak łatwo jest stracić duszę. Ale utrzymaliśmy i rozwinęliśmy — wprawdzie ze wszystkimi niedoskonałościami — poczucie więzi rodzinnych, poczucie ważności otoczenia, pragnienie, aby za wszelką cenę zachować ludzki wymiar życia, a także aby mieć przynajmniej jedną część naszego świata i naszej tożsamości solidnie zakotwiczoną, tak, żebyśmy nie zostali połknięci przez tę szaloną, zmienną trąbę powietrzną, jaką jest współczesna Ameryka. Sędzę, że możemy nauczyć obywateli Stanów Zjednoczonych jak uwolnić się od poszukiwania fałszywych tożsamości w pracy, bogactwie, własności materialnej i w swym statusie: możemy ich nauczyć, jak żyć w rytmie różnym od rytmu maszyny. Społeczeństwu, którego życie cechuje zmyślony, nadęty, tandetny, optymizm świata reklamy, w których każdy jest piękny i szczęśliwy, w którym nie ma bólu, choroby i śmierci, społeczeństwu temu możemy pokazać, że jeszcze nie straciliśmy poczucia życia i śmierci, radości i tragedii dzielonych z rodziną i przyjaciółmi.

Niektórzy współcześni historycy twierdzą, że samą esencją totalitaryzmu jest tłumienie wszelkiej transcendencji, to znaczy izolowanie człowieka i niszczenie jego więzów z jakąkolwiek ideą lub instytucją — rodziną, kościołem, społecznością — która daje mu tożsamość pozwalającą mu wyjść poza siebie. Staje się on całkowicie zależny i całkowicie plastyczny — jak kawałek gliny. Rozmyślnie czy nie, wymagania państwa i korporacji w naszym społeczeństwie coraz bardziej niszczą transcendencję. Dlatego właśnie to, co chcemy zaoferować ma tak ogromne znaczenie.

Wreszcie w zakończeniu uwzględnijmy jeszcze jeden punkt. Wiele razy wspominaliśmy o historycznym polskim zaangażowaniu w sprawę wolności i sprawiedliwości. Czy jest w tym zaangażowaniu coś szczególnego, coś, z czego my, jego spadkobiercy, moglibyśmy czerpać, aby wzbogacić amerykańskie doświadczenie? Arogancją i fałszem byłoby twierdzić, że tylko my znamy drogi, którymi chodzi wolność, lub że mamy jakiś tajemniczy klucz do jej zachowania. Tym niemniej jest w naszym doświadczeniu coś, co ma wagę. Najlepiej jest to wyrażone w wierszu napisanym przez radykalnego poetę i generała powstańczego, Jakuba Jasińskiego, krótko przed jego śmiercią na barykadach Warszawy w 1797 r.:

Nie dbaj na to, żeś w ciężkie kajdany się dostał,  
Gdy lud rzekł: „Chcę być wolnym” — zawsze wolnym zostałeś!

Jest to ta szczególna intensywność i zaangażowanie w obliczu niezwykłych trudności, które zawsze charakteryzowały Polaków. Właśnie to pragnienie wolności w obliczu ucisku, który zgniółł innych, musimy zachować i przekazać naszym braciom Amerykanom w chwili, kiedy złowroźnie potężne siły w naszym społeczeństwie jej zagrażają.

W zakończeniu jednego ze swych wczesnych wierszy Mickiewicza dał następującą przepowiednię dotyczącą losu Ameryki:

Wtenczas nad Nowym Światem swobód gwiazda błysnie,  
Cnota się i nauka pod jej promyk ciśnie:  
A Lud-Król berłem równym uległym zawładnie,  
Do stóp swoich tyrany staroświeckie pognie  
I z wolnej skry w Europie nowe wznieci ognie.

Jesteśmy Polakami, a jako Amerykanie jesteśmy zobowiązani do zagwarantowania, że w następnym stuleciu mickiewiczowska wizja narodu sprawiedliwości, wolności i demokracji będzie w dalszym ciągu kwitła: że Stany Zjednoczone jako państwo narodowe będą prowadzone przez transcendentne wartości Ameryki jako ideału godności ludzkiej. Zrobić mniej — znaczyłyby pogwałcić obie nasze tradycje. Być może najlepiej zrobimy przypominając, że Polska, podobnie jak Stany Zjednoczone, również jest pewną ideą.

Jeśli zdołamy tego dokonać utrzymamy wielkość naszego narodu. Kończąc pozwólcie mi pożegnać Was ostatnimi słowami naszego nieśmiertelnego poety A. Mickiewicza, które wypowiedział leżąc na łożu śmierci w otoczeniu swych towarzyszy, z daleka od swej ukochanej ojczyzny: „Kochajcie się”.

#### POLISH-AMERICANS AND THE BICENTENIAL

##### S u m m a r y

It is good time on the eve of 200th Anniversary of USA to look back on the history of his people. The sojourn many immigrants in this land has not been an easy one. Many Americans sow the Poles and other Eastern and Southern Europeans as brutish anti-democratic ignoramuses, as strike breaking supplanters of honest American labor, as the advance guard of anarchism and as the mindless Robots of the Pope's conspiracy to take over Protestant America.

It turned out that the Polish immigrants was less dangerous than the Americans had supposed and he could be allowed to slip silently into the Melting Pot which many Americans so fervently hoped actually existed. They became the kindly, gentle, slightly comis fellow, who with his citirens hip papers cluthed reverently in his work hardened hands, burbled heart warming, patriotie cliches in his broken English.

This image persisted right through the 1950's. In the 1960's this image changed, though most Americans know almost nothing about Polish-Americans history and cultures in this country or in Europe nor do they know anything about the life, hopes, fears and beliefs of the communities they established in this country. They are called „Racists”.

At the same time the movement of „Ethnicity” is starting and with it a renaissance of the conscience of the own Polish-Americans interest. The revival among the Blacks and among the ethnic minorities of a new sense of self respect and willingness to act forthrightly in their own interest has disturbed many WASP, who will try to beat they down again.